

Mógłbym założyć się o złote kalosze, że mnie tam nie było, a wszystko to sen, nic innego. Chciałbym także zapewnić każdego, że właśnie wtedy, kiedy to nastąpiło, bezbronny ja leżałem pod ciepłym kocem i kontynuowałem jakże przyjemny odpoczynek, coraz bardziej zagrzebując się w poduszkę. Lecz od kłamstwa rośnie nos, a rosnąc boli i swędzi, więc powstrzymam się od fałszywych wersji wydarzeń i pozwolę sobie zabrać Wam chwilkę, aby opowiedzieć o niezwykłościach, które mi się przydarzyły. Być może uznacie, że bardzo mocno uderzyłem się o framugę drzwi, lampę, czy też cegła spadła na moją rozczochraną głowę w chwili przechodzenia pod remontowanym kościołem. Nic z tych rzeczy, wszystko to bym pamiętał i bez najmniejszego zwlekania zawarł powyżej.

W mojej dzielnicy, gdzie stoi zachowany ciężki schron bojowy niemalże naprzeciw nowo wybudowanych marketów, a balkony *familoków* uginają się co roku pod mieniącymi się, ledowymi lampkami świątecznymi rodem z kasynowego Las Vegas, czasami działa się – i dzieją nadal – dziwne rzeczy. Wiedziałem to już od dzieciństwa z opowieści mojej babci, która mieszkała tu całe życie i nie zamierzała się stąd nigdzie wybierać.

Siadając przy parapecie i obserwując startujące z zajezdni *banki*, snuła wspomnienia o *chyrpach*, zmorach, przykucających na jej klatce piersiowej każdej nocy i duszących podczas snu, aż do bólu klatki piersiowej. *Tako mora niyroz przycupła, taki brzidok, aże...* mówiła zazwyczaj kręcąc powoli obwiązaną chustką głowę i poprawiając trzęsącymi się (odkąd tylko pamiętam) dłońmi wzorzystą spódnicę, teatralnie zawieszając głos. Wszyscy sąsiedzi wołali na nią Agnys, dziadek jedynie nazywał *Frelą*, jak gdyby nigdy się nie zestarzała i zawsze była tak samo młoda. Zielone oczy iskrzyły się ognikami energii i dobroci, a spracowane ręce potrafiły koić bóle. Bardzo lubiłem jej słuchać, chociaż nieraz przerażała mnie swoimi wspomnieniami. Jako dziecko widziała bandę Sowietów, przedzierających się przez te tereny, porywających sprzed domostw rowery i kradnących wszystkie kosztowności Ślązaków. Przeżyła też najsroźsze zimy, poszukiwania Marchwickiego, wszystkie majowe odpusty, jakie tylko zorganizowała tutejsza parafia. Jak więc nie wierzyć jej w te zmory?

Dziadek natomiast, Edward vel Ecik, o którym powinienem raczej powiedzieć, że *opa*, bo jedynie to określenie akceptuje, był człowiekiem cichym, niewiele mówiącym. Urodził się nieopodal domu, w którym mieszkają do dzisiejszego dnia, w wielodzietnej rodzinie i tak jak jego dziadek i ojciec znalazł pracę na kopalni Rozbark. Wierzył tylko w istnienie Boga, Lucypera (bo stał kiedyś w szeregach Boga) i Skarbka, który zarówno pomagał górnikom, jak i im szkodził. Na opowieści babci mlaskał z niezadowoleniem i tłumaczył słuchaczom, że *kaj tam, Frela durś dziwoczy i cuduje*. A jak już babcia z zapałem opowiadała o utopcach różnej maści, które jej przyjaciółka za czasów jeszcze panny miała przekleństwo spotkać, intonował swoją ulubioną przyspiewkę z powtarzającymi się słowami *tańcuj, tańcuj*, do której wkrótce przyłączali się rozmówcy i rozmówczynie, a omawiane utopce finalnie szły w zapomnienie. Jeszcze jak biesiadę podsycił *ujek* Jorg, grający na zardzewiałym i nienastrojonym klarnecie, wodne stwory zupełnie nie miały szansy bytu. Ale mnie zawsze intrygowały te tajemnicze opowieści, chociaż ze wstydem już przyznam, że żadną nie przejąłem się dłużej niż przez parę chwil, kiedy jeszcze słowa babci brzęczały mi w uszach, a wyimaginowane wizje nie zostały wyparte przez nowe bodźce.

*Za bajtla to beboki stynkały i przeżywały zawałate paciuloki i ćwoki*, opowiadała raz babcia, obierając kartofle do wielkiego spalonego już nieco garnka z zimną wodą, a widząc moje zainteresowanie dodawała szybko, aby nie sprowokać mnie do pytań o szczegóły - *tośmy pitali na drzewa i tyla*. Jak się domyślicie nigdy nie udało mi się dowiedzieć, czy rzeczywiście tak było, bo zaczynała nową historię i jeszcze nowszą, a ja mogłem tylko wybałuszać oczy i słuchać z wypiekami na twarzy. Po paru latach miałem nieskromną listę miejsc, w których straszdyła, duchy, duszki się pojawiają. Na pierwszej pozycji były odludne przestrzenie w pobliżu kopalni, bagna, cmentarze. A na drugiej? No tak, lasy.

Teraz jednak pozwólcie, że zamienię się miejscem i tym razem ja opowiem niesamowitą historię, której

doświadczyłem osobiście. Być może nie będzie tak spektakularna jak opowieści *umy* Agnys, ale musicie wybaczyć - doświadczenie moje w tej dziedzinie jest umiarkowanie marne. Od zawsze uwielbiałem spacerować z moim *ryszawym* czteronogim kompanem po nieco zapomnianej łące, rozciągającej się na obrzeżach mojej dzielnicy, na której rosły dziko między innymi mlecze, stokrotki i bylice. Podziwiałem przebiegające przez wąską ścieżkę polne myszy, zbierałem duże, ptasie pióra, wtykałem sobie je za ucho jak prawdziwy Indianin i maszerowałem po zawijasach drogi, aż do zwalonego drzewa. Dalej już zaczynał się groźny las, określany przez moją babcię jako *chałupa Maludego*. Nieraz przestrzegała przed nim i straszyla, że stąd *wdycki boroki wyparzały wylynkowane*.

Pewnego chłodnego, październikowego dnia, kiedy liście sprawiały wrażenie zardzewiałych i opadały z drzew w rytmie przyjemnie wiejącego wiatru, a na drogach błyszczały małe kałuże - pozostałości popołudniowego deszczu - również wybrałem się w tamtą stronę z moim czteronogiem. Przeszliśmy parę kroków, uważając na rozpoczynające swoją migrację ślimacze rodziny, nim dostrzegłem ciemny kształt, biegnący w stronę lasu. Atos nie mógł być gorszy. Z całą swoją siłą rosnącego kundla, urwał się ze smyczy i ruszył w pogoń za nieznanym uciekinierem. Przeskoczył nad zwalonym drzewem niczym zawodowy atleta wyścigowiec i zniknął w otchłani *chałupy Maludego*, pozostawiając mnie zupełnie samego. Możecie więc wyobrazić sobie moją bezradność, albo kibicować mi, że nie taki ze mnie *utropek*, żeby załamywać ręce. Albowiem alternatywy były dwie: Atos sam mógł wrócić, znał przecież doskonale drogę do domu, lub ja mogłem czekać przy wejściu do lasu, aby łaskawie go opuścić i udał się ze mną w drogę powrotną, omijając czyhające w leśnych krzakach niebezpieczeństwa.

Mimo to lęk o czworonoga był większy, bo wszakże zwierzę nigdy do lasu nie wchodziło. Mogło więc przerazić się podobnie jak ja i usiąść w jednym miejscu, z zamiarem poczekania na swojego opiekuna. *Rzykaj ino do Ponbóczka*, przestrzegał dziadek w przypadku nieprzychylnych okoliczności. Przeżegnałem się szybko i szepcząc modlitwę, przelazłem przez zwalone drzewo w stronę zakazanego terenu. W moich żyłach krążyła adrenalina, wyostrowająca słuch i wzrok, dzięki czemu słyszałem i reagowałem na każdy szelest liści pod stopami i na każdy cień zachodzącego słońca, zostawiającego swoje promienie na gałęziach. Lecz im bardziej las gęstniał, tym robiło się ciemniej, jak gdyby światło nie miało tu już dostępu. Mimo, że robiłem małe i ostrożne kroki, nadal potykałem się o wystające korzenie, przypominające wychodzących z ziemi *umarłoków*. A jeśli zjawi się złośliwy duch Maludy?

Przeszedłem już spory kawałek niezmiennie rozglądając się wokół siebie i próbując zapamiętać drogę powrotną. Po psie nie było ani śladu, przepadł w gęstwinie dzikich jagód i mchu. W pewnej chwili, blisko mnie, rozległ się chrzęst stopniowo zbliżających się kroków. Serce podskoczyło mi do gardła i próbowało się przez nie usilnie wydostać, bijąc szybko i głośno, a krew zaczęła szumieć w głowie i oblewać wypiekami policzki i szyję. Stałem w bezruchu, nasłuchując. Kroki nie milkły, wyraźnie słyszałem, że ktoś się zbliża, lecz nikt nie nadchodził. Bałem się dłużej patrzeć w jedną stronę, więc zacząłem rozglądać się histerycznie, zaciskając pięści i zęby.

W końcu dostrzegłem pokraczną postać, wychodzącą zza drzewa. Podeszła do mnie, stanęła w odległości wyciągnięcia ręki i znieruchomiała. Była wielkości taboreta przystrojonego żółto-zieloną ceratą, na którym zwykł siadać dziadek. Sięgała mi nieco nad kolana. Na głowie nosiła czerwoną czapkę, którą mocno naciągała na odznaczające się, spiczaste uszy. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego stworzenia. Po dłuższej chwili krasnoludek podniósł na mnie wzrok i spojrzał ogromnymi, zielonymi oczami, w których nie dojrzałem ani gniewu, ani zwiastunu nadchodzącego kataklizmu. Miał miłą twarz, przypominającą facjatę roześmianego dziecka, listki wystające z czapki i dotykające gładkiego czoła, a w kieszeni kubraczka zaschnięte podgrzybki i maślaki. Przywitał się szybko, lekko podskoczył. Dowiedziałem się, że nazywa się Waldi, i że jest dobrym duszkiem. Nie widuje się znów tak na codzień duszków, więc parę chwil minęło, nim strach postanowił puścić nieco moje gardło a wypieki przestały piec. Nakazał iść za sobą. Przez myśl mi przeszło, że być może zbliżamy się do osady duchów leśnych, gdzie już bezsprzecznie czeka mnie rychły koniec.

Czując mój niepokój, duszek roześmiał się krótko i wyjaśnił, że zwykle pomaga ludziom. Ot, znajdzie i wybierze im dorodnego koźlarza podczas grzybobrania, odsunie gałąź, o którą mogliby się potknąć, ostrzeże przed

niebezpieczeństwem. Słońce już niemal zaszło, lecz krasnoludek nie zwolnił tempa, zwinnie przeskakując przez przeszkody i nie potykając się o korzenie. Próbowałem za nim nadążyć, aż do lekkiej zadyszki, kiedy to po minięciu samotnie stojącej na środku ścieżki sosny, zatrzymał się i wskazał mi palcem najbliższy krzak. Wiatr niezmiennie świszcząc między liśćmi, akompaniowało mu ciche zawodzenie. Podeszedłem powoli do wskazanego miejsca i ujrzałem Atosa, próbującego wyszarpać się z pułapki. Smycz zacisnęła się na wystającym korzeniu w tak nieszczęśliwy sposób, że kundel został unieruchomiony. Zauważając mnie pisnął z ulgą, zaskomlał i kilka chwil po odplątaniu łaścił się do moich łudek, radośnie merdając ogonem. Chcąc podziękować duszkowi za pomoc, odwróciłem się w kierunku miejsca, w którym powinien stać Waldi. Lecz już go tam nie było. Wiatr dalej bawił się między liśćmi, a oprócz zawodzenia psiaka, słyszalny był życzliwy, cichy śmiech – być może leśnego krasnoludka.

Po tej przygodzie często zastanawiałam się, czy to nie jakiś *feszter*, lubiący pożartować sobie z przestraszonych chłopców. Ale wiem, że bez niego ciężko byłoby mi znaleźć czworonożnego przyjaciela. Nikt nie wie o moim spotkaniu z Waldim - oprócz Was i Atosa. Być może dlatego, że dalej czuję się nieswojo podczas snucia długich opowieści, bo wiem, że babcia na moim miejscu zrobiłaby to sto razy lepiej. Lecz pamiętajcie, że obok groźnych, złośliwych Straszaków Śląskich, są także stworzenia pomocne i wielkoduszne, którym warto zaufać.